

W mieście Lovecraft działa siedemnaście zakładów dla obłąkanych. Poznałam je wszystkie.

Kiedy ją odwiedzam, matka lubi opowiadać mi sny. Tak jak teraz, gdy siedzi w oknie charytatywnego szpitala Cristobel i gładzi żelazne pręty kraty niczym harfistka struny swojej harfy.

– Zeszłej nocy wybrałam się na porośnięte liliami pole.

Jej nocne marzenia nigdy nie są po prostu snami. To zawsze podróże, wyprawy badawcze, prace wykopaliskowe obłąkanego umysłu lub – jeżeli jest w posepnym nastroju – złowieszcze omeny, których przestrogom powinnam poświęcić najwyższą uwagę.

Błyszczące, mosiężne trybiki chronometru przesunęły wskazówki poza godzinę czwartą trzydzieści. Schowałam go z powrotem do kieszeni spódnicy. Niedługo skończy się pora odwiedzin i będę mogła wrócić do domu. W październiku mrok zapada wcześniej. Samotnie spacerująca po mieście dziewczyna nie jest bezpieczna, zwłaszcza kiedy panuje zadusznna pogoda.

Zadusznna pogoda – sama ją tak nazwałam. To dni, gdy niebo przybiera kolor dymu bijącego znad odlewni Nefilim na drugim brzegu rzeki. Dni, kiedy zimę można wyczuć koniuszkiem języka.

Nie zareagowałam na początek opowieści odpowiednio szybko, więc matka sięgnęła po lusterko i cisnęła nim, mierzając w moją głowę. W zwierciadełku nie ma już szkła – i to od lat. Zniknęło co najmniej sześć zakładów temu. Lekarze zanotowali to – schludnymi, pajęczymi literami – w jej karcie, po tym jak matka próbowała podciąć sobie żyły. „Zakaz posiadania luster i jakichkolwiek ostrych przedmiotów. Pacjentka stanowi zagrożenie dla samej siebie”.

– Mówię do ciebie! – krzyknęła. – Pewnie ci się wydaje, że to nieważne, ale wybrałam się na porośnięte liliami pole! Widziałam martwe dziewczęta. Poruszały rękoma! Patrzyły ku górze szeroko otwartymi oczyma! Wyglądały na świat, którego tak rozpaczliwie pragną!

To wielka szkoda, że matkę dopadł obłąd. Zdrowa mogłaby zarobić fortunę, pisząc fantastyczne powieści w gotyckim nastroju – takie jakie wydają w tanich okładkach z pękającymi grzbietami; takie, które jedną za drugą pochłania pani Fortune, moja stara nauczycielka z Akademii Lovecraft.

Żołądek ścisnął mi się niczym pięść, ale odpowiedziałam opanowanym, kojącym tonem. Wyćwiczyłam to – zdolność do uspokajania, łagodzenia jej nastroju. Miałam w tym aż nazbyt dużo praktyki.

– Nerisso – zaczęłam, ponieważ tak właśnie ma na imię, a my nigdy nie zwracamy się do siebie jak matka do córki tylko zawsze per Nerissa lub Aoife. – Słucham cię. Ale to co mówisz, nie ma najmniejszego sensu.

Jak zwykle. Tego już jednak nie dodałam. Nie chciałam, by znowu coś we mnie rzuciła.

Podniosłam lusterko i przeciągnęłam kciukiem po spodniej stronie. Wykonane jest ze srebra i dawniej było bardzo ładne. Gdy byłam mała, trzymając je w ręku, udawałam, że jestem piękna. Matka siadywała wówczas w oknie Azylu Matki Rozumu, pierwszego zakładu zamkniętego, jaki zachowałam w pamięci, prowadzonego przez siostry racjonalistki. Ich milczące, odziane w czerń postacie sunęły z szelestem po korytarzu przed celą mamy. Słyszałam, jak modliły się o jej wyzdrowienie do Wielkiego Budowniczego, ucieleśnienia ludzkiego rozumu. Nerissie nie zdołała pomóc cała wiedza medyczna i logika świata, lecz zakonnice wciąż próbowały. A kiedy zawiodły i one, została odesłana do następnego zakładu, gdzie nikt już nie zanosił modłów o nic.

Matka prychnęła i zmierzwiła nierówno przystrzyżoną grzywkę, sięgającą oczu.

– Och, doprawdy? A jakież ty możesz mieć pojęcie o sensie, panienko? Ty i reszta dzieci kupców żelaznych, zamkniętych w tej zawilgłej szkole, gdzie tryby obracają się niestrudzenie, mieląc studentom kości...

Przestałam słuchać. Gdybym zanadto skupiła się na jej słowach, mogłabym w nie uwierzyć. A gdybym uwierzyła Nerissie, pękłoby mi serce.

Kciuk natrafił na zagłębienie w oprawie lusterka. Powstało, kiedy pozbawiony skrupułów sanitariusz wydlubał tkwiący tam rubin, tak przynajmniej twierdziła matka. Wcześniej czy później wszystkich zaczynała podejrzewać o wszystko. Sama także byłam już według niej dzierzbą, która zjawiała się, by wypić jej krew i skraść życie, oraz duchem, katem i szpiegiem. Gdy tylko skupiała na mnie swą wściekłość, zbierałam książki i wychodziłam, pewna, że nie zobaczę jej przez następne kilka tygodni. W te jednak dni, kiedy rozmawialiśmy o snach, wizyty ciągnęły się godzinami.

– Wybrałam się na porośnięte liliami pole... – podjęła szeptem, przyciskając czoło do żelaznych prętów w oknie. Wsunęła między nie palce i zostawiła na szybie widmowe odciski.

Dawniej jej nocne widzenia bardzo mnie fascynowały. Pole lilii, mroczna wieża, wróżki. Opowiadała mi o nich po wielokroć cichym, śpiewnym głosem. Żadna inna matka nie umiała snuć na dobranoc takich bajek jak ona. Żadna inna matka nie widywała krain leżących poza światem żywych, poza wszystkim co racjonalne. Nerissa trwała zagubiona w marzeniach – w ten czy inny sposób – odkąd tylko pamiętam.

Teraz, przy każdych odwiedzinach, miałam nadzieję, że ocknie się i otrząśnie z tej mgły. I za każdym razem wychodziłam rozczarowana. Po ukończeniu Akademii będę być może zbyt zajęta, żeby w ogóle składać jej wizyty. Przecież kiedyś dostanę w końcu przyzwoitą pracę i zacznę wieść przyzwoite życie. Niemniej, póki to jeszcze nie nastąpiło, Nerissa potrzebowała kogoś, kto wysłuchiwałby jej szalonego bredzenia i ten obowiązek wciąż spoczywał na moich barkach. Ciężar bycia dobrą córką często wydawał mi się uwiązany do nogi kamieniem.

Sięgnęłam po torbę i podniosłam się z miejsca.

– Idę do domu.

Co prawda nie zawyła jeszcze syrena obwieszczająca koniec pory odwiedzin, ale za oknami powoli gęstniała już ciemność.

Nerissa zerwała się jak kocica, podskoczyła i chwyciła mnie za nadgarstek. Jak zwykle miała zimną dłoń. Spojrzałam na jej wychudzone, pokryte falującą nocną koszulą, ciało. Zawsze byłam od swej kruchej matki wyższa i mocniej zbudowana. Gdybym kiedykolwiek poznała ojca, okazałoby się zapewne, iż posturę odziedziczyłam po nim.

– Nie zostawiaj mnie tutaj – syknęła. – Nie chcę sama spoglądać w ich oczy. Umarłe dziewczęta zatańczą, Aoife, zatańczą na popiołach świata...

Ścisnęła moją rękę i wpijała we mnie wzrok przez kolejne, dłużeń się niemiłosiernie sekundy. Poczulałam wkradający się zza okien chłód. Łaskotał moją odsłoniętą skórę, przeciągał zimowym palcem po plecach. Nagle ktoś zapukał głośno do drzwi. Wzdrygnęliśmy się obie.

– Mam nadzieję, Nerisso, że nie przysparzasz swej ślicznej córce kłopotów – rozległ się głos doktora Portnoya, psychiatry opiekującego się matką.

– Nie przysparza – odpowiedziałam i uwolniłam się z jej uścisku.

Nie lubię lekarzy. Nie lubię ich spojrzeń, którymi rozbierają pacjentów na czynniki pierwsze. Ucieszyłam się jednak, mogąc słuchać Portnoya, a nie krzyków Nerissy. Jego obecność przyniosła mi ulgę.

Gdy tylko doktor wszedł do salki, natychmiast spoczęły na nim niespokojne oczy matki. W jej spojrzeniu załśnił zwierzęcy spryt. Portnoy znacząco poklepał się po kieszeni białego kitla, z której wystawał tłok strzykawki.

– Dam ci buzi na do widzenia – szepnęła, jakby miał to być nasz sekret, po czym mocno mnie przytuliła. – Widzisz, doktorze? – zwróciła się do lekarza. – Zwyczajna, matczyzna miłość – roześmiała się głośno, skrzekliwie, jakby odgrywanie roli rodzica stanowiło dla niej świetny dowcip. Potem odsunęła się ode mnie i ponownie przysiadła na parapecie, wpatrzona w zmierzch przeistaczający się w noc. Odwróciłam się. Nie byłam w stanie patrzeć na nią ani chwili dłużej.

– Stan twojej matki niezwykle mnie niepokoi – przyznał doktor Portnoy. Lekarz odprowadził mnie przez całą długość korytarz i kazał potężnemu sanitariuszowi otworzyć harmonijkową kratę.

– Urojenia Nerissy z dnia na dzień stają się bardziej wyraziste. Jeżeli nic się nie zmieni, będziemy musieli ją przenieść na oddział o zaostrzonym rygorze. Nie mogę ryzykować, że zarazi swym obłędem pozostałych, lepiej rokujących pacjentów.

Skrzywiłam się. Owszem, Nerissa była w oczywisty sposób szalona, ale oddział o zaostrzonym rygorze? Czyli cela bez okien i łóżko wyposażone w skórzane pasy. Czyli zawartość strzykawki tkwiącej w kieszeni psychiatry. Czyli zakaz odwiedzin.

– Wiem, że znajdujesz się obecnie pod kuratelą miasta – ciągnął Portnoy – ale ta kobieta nie przestała przecież być twoją matką i masz większą szansę do niej dotrzeć niż ja. Musisz jej dać do zrozumienia, jak poważna jest sytuacja i jak bardzo potrzebuje zdrowia.

Położyłam dłoń na klamce wielkich, frontowych drzwi zakładu. Poczulałam wdzierający się szczelinami zimny przeciąg.

– Doktorze Portnoy – znów poczulałam ciężar kamienia u nogi, ciągnący mnie nieustępliwie ku matce. – Nerissa nie słucha nikogo, a już na pewno nie mnie. Jest obłąkana, odkąd pamiętam.

– Wolę posługiwać się określeniem „uszkodzona przez wirus” – napomniął mnie z uśmiechem. – Nieszczęśnicy, którzy tracą zmysły wskutek działania nekrowirusa, nic nie są w stanie na to poradzić. Wszak nikt nie wybrałby sobie takiego losu dobrowolnie. Zarodniki wirusa wyjadają umysł, aż wreszcie zostają w nim jedynie urojenia.

Rozumiałam to. Aż nazbyt dobrze. Zanim jeszcze nekrowirus pojawił się i rozplenił po całym świecie – siedemdziesiąt lat przed narodzinami Nerissy – szaleńcy podobno niekiedy zdrowieli. Ale za moich czasów tak już nie było. Na pewno nie w przypadku matki.

Pchnęłam drzwi. Wpuściłam do wewnątrz harmider biegnącej u stóp granitowych schodów Derleth Street i woń jedzenia z okolicznych jadłodajni, dolatującą ponad morzem omnibusów i przechodniów. Z wystających z chodników rur i znad wózków ulicznych sprzedawców biła para, układając się w nisko zawieszony tuman, otulający szpital niczym złowrózba chmura lub zły omen. Głęboko pod stopami wyczułam pomruk Maszyny, szmer wielkich trybów mechanicznego serca miasta. Karmiona eterem, podziemna siłownia obdarzała całe Lovecraft parą i życiem.

Portnoy czekał na odpowiedź z miną niesympatycznego profesora prowadzącego kurs, którego i tak nie miałam szans zaliczyć.

Westchnęłam, pokonana.

– Proszę to nazywać wedle życzenia, doktorze, ale Nerissa jest szalona i ja nie potrafię tego zmienić.

Wysłałam za próg, lecz lekarz złapał mnie za rękę. Jego uścisk był mocny, choć nie rozpaczliwy, niepodobny do dotyku matki. Przypominał chwyt automatu z odlewni, dźwigającego ładunek żelaza.

– Panno Grayson, zbliżają się twoje urodziny.

Z trudem przełknęłam wzmiankę o tej rocznicy. Panika.

– To prawda.

– I jak się czujesz? Pojawiają się jakiegokolwiek sny? A może objawy fizyczne?

Mocniej zacisnął palce. Spięłam się, nie mogłam uciec.

– Nie.

Portnoy zmarszczył brwi. Spojrzałam na czubki swych butów. Nie widząc moich oczu, nie mógł dojrzeć ukrytego w nich kłamstwa.

– Sugeruję, byś zastanowiła się nad sprawą matki jeszcze przed urodzinami, Aoife. Załatw wszystko z urzędem miasta, póki możesz. Pacjenci leczeni charytatywnie nie są w najlepszej sytuacji, jeżeli nie ma nikogo, kto mógłby się nimi zająć. A jak sama wiesz, Cristobel jest placówką badawczą. Prowadzimy tu eksperymenty.

Słowo eksperymenty – brzmiące tak wspaniale w uszach większości kolegów, z którymi studiowałam inżynierię – wywołało u mnie gwałtowną falę mdłości. W zakładzie nie oznaczało uświęconej tradycji stawiania hipotez, konstruowania teorii i zdobywania dowodów. Oznaczało prąd. Zamknięte cele. Zbiorniki z wodą i halogenowe lampy. Portnoy nie był w stanie mnie zwieść – chciał zostać odkrywcą lekarstwa na wirusowy obłęd, pragnął znaleźć złoty klucz w dziedzinie, w której zawiedli wszyscy inni. Widziałam kilka istot, które przeszły przez jego ręce. Rozedrgane kończyny, ogolone głowy, puste oczy. Eksperymenty.

Matka trzymała mnie swym szaleństwem jak na smyczy, ale chociaż z całego serca pragnęłam się uwolnić, nie chciałam, by doszło do tego w taki sposób.

Dzwony katedry Oppenheimera wybiły piątą. Wyrwałam rękę z uścisku psychiatry. Spojrzał mi w oczy. Wpadająca z ulicy para pokryła szkła jego okularów białą mgiełką.

– Muszę już iść – rzuciłam, próbując uspokoić rozkołataną serce.

– W takim razie życzę przyjemnego wieczoru, panno Grayson – odparł Portnoy. Jego wzrok mówił jednak zupełnie co innego.

Lekarz zamknął za mną drzwi i rozległ się huk, jakby ktoś zatrzasnął wrota grobowca. Drzwi we wszystkich zakładach dla obłąkanych są takie same. Nie pozwalają zapomnieć, że zawsze zostaje za nimi jakaś część ciebie, nawet jeżeli możesz wyjść.

Ruszyłam przed siebie i omotałam szkolny szalik wokół twarzy, by chłód nie wdzierał mi się do płuc. Gdy opuszczałam mury domu wariatów, zawsze wydawało mi się, iż czasowo odroczone moją egzekucję. Będę musiała tu wrócić dopiero za tydzień, o ile oczywiście matka nie straci przez ten czas przywileju przyjmowania gości. Szłam spieszenie, wypuszczając z siebie burzę gniewu i paniki. Uspokajałam się, na powrót zmieniałam w anonimową dziewczynkę, chcąc złapać omnibus białej linii z powrotem do Akademii i Szkoły Maszyn. Przystanek znajdował się trzy przecznice dalej, na rogu Derleth i Oakwood. Po pięciu uderzeniach dzwonów pojazdy kursowały tylko raz na godzinę.

Do celu dotarłam dokładnie w chwili, gdy omnibus ruszał do wtóru zgrzytu trybów, w oparach pary tryskającej jak ze smoczego pyska. Zakląłam i tupnęłam w chodnik. Przechodzące obok dwie Gwiazdne Siostry obrzuciły mnie nieprzyjaznym spojrzeniem. Wykonały Gest Oka, przytykając dwa palce do czoła. Odwróciłam wzrok. Gwiazdne Siostry i ich Wielcy Przedwieczni mogli sobie mnie przeklinać do woli – ich kłątwy i tak nie przerosną tej, która tykała już w mojej krwi niczym zegar.

Ciaśniej obwiązałam głowę szalikiem i ruszyłam dalej. Nic innego nie mogłam zrobić. Szłam w nadziei, że złapię po drodze jakiś omnibus, który zabierze mnie z centrum. W głowie wciąż wirowały mi słowa doktora Portnoya, mieszały się ze snami Nerissy. Skronie pulsowały bólem, w rytmie zgodnym z biciem serca. Czekano mnie dziś jeszcze sporo nauki, następnego ranka miałam egzamin. Nic nie zapowiadało, by ten dzień miał się dobrze skończyć.

Z każdym krokiem bardziej pochmurna, minęłam kilka skrzyżowań. Nagle usłyszałam czyjeś okrzyki. Ktoś wołał ponad szumem ulicy.

– Aoife? Aoife! Zaczekaj!

Zwinna postać wyskoczyła na jezdnię tuż pod koła napędzanego pedałami wózka sprzedawcy pieczonych orzechów. Kierowca warknął coś po niemiecku. Uczylałam się tego

języka już wystarczająco długo, by wiedzieć, że nie było to nic miłego. Calvin Daulton jednak nie miał o tym pojęcia.

– A jednak udało mi się ciebie dogonić! – wydyszał, przystając obok. Policzki płonęły mu jak ogień w silnikach. – Już myślałem, że uciekniesz. Zauważyłem cię z drugiej strony ulicy.

– Co robisz aż na Starym Mieście? – spytałam głosem zabarwionym zaskoczeniem. Cal taszczył ze sobą siatkę ze sklepu papierniczego.

– Stalówki i tusz. To jedyne miejsce w mieście, gdzie można kupić przyzwoity chiński tusz. Musimy na jutro narysować projekt, znowu zapomniałaś?

– Oczywiście, że nie. Już prawie skończyłam. – Niewinne kłamstewko. W przeciwieństwie do tego, którym odpowiedziałam doktorowi Portnoyowi, gdy zapytał o moje sny. Skończyłam już wstępny szkic, ale teraz projekt trzeba było jeszcze przerysować na czysto, uzupełnić o wszystkie konieczne opisy techniczne, przepisać matematyczne wzory – wszystko to czekało mnie po powrocie do żeńskiego akademika. O tym właśnie zapomniałam. Nerissa pochłonęła moje myśli tak, jak podobno Wielcy Przedwieczni pożerają słońca podczas swej podróży między sferami.

– No tak, nic dziwnego – Cal wciąż oddychał głęboko. – I też uciekł ci omnibus?

– Tuż sprzed nosa – odparłam, czując ogarniający mnie na nowo gniew. Gdyby Portnoy nie zatrzymał mnie w zakładzie...

– Więc chyba zamiast kolacji będziemy się musieli zadowolić resztkami – westchnął Cal. Mimo że był postury i wagi wyciora do fajki, jadał z zapalem uczującego barbarzyńcy. Przyjaźniłam się z nim od pierwszego dnia w Akademii i wiedziałam, że o ile nie czytał komiksów lub nie prosił mnie o rady w sprawie zdobycia uwagi Cecelii, mojej współlokatorki, myślał głównie o zapełnieniu żołądka. Jedzenie resztek stanowiło dla niego tragedię tego samego rzędu, jaką byłoby wydalenie ze Szkoły Maszyn i przeniesienie do Szkoły Dramatu. Mnie dzisiejszego wieczora zupełnie to nie obeszło. I tak wciąż miałam ściśnięty żołądek.

Stanęliśmy u wylotu Derleth Street. Szeroki, krwawordzawy nurt rzeki Ereb wzbierał przed nami powoli przewalającą się krą. Po jednej stronie ciągnął się nadrzeczny bulwar, oświetlony widmowo niebieskim światłem eterowych latarni, pełen turystów i ludzi, którzy nie zdążyli zrobić zakupów za dnia. Pasaż handlowy pogwizdywał zachęcająco, wylewał z siebie maleńkie pokusy, które, jak wyczułam, trafiały Cala prosto w serce. Po drugiej stronie otwierała się ciasna Dunwich Lane, brukowana ulica, zupełnie nieoświetlona, jeżeli nie liczyć staroświeckiej lampy naftowej kołyszącej się na haku przed pubem o nazwie „Pod Jackiem i wroną”.

Dunwich Lane wiodła ku wejściu na Most Graniczny, żelazny cud techniki wzniesiony jakieś trzydzieści lat temu przez Josepha Straussa. Cal i ja – wraz z całą resztą studentów drugiego roku – wybraliśmy się tam niedługo po rozpoczęciu zajęć. Korzystaliśmy z mostu jako z modelu, na którym ćwiczyliśmy rysunek techniczny, póki nie uznano nas za dość biegłych, by tworzyć własne projekty. Jeżeli ktoś nie potrafił odtworzyć na papierze schematu Mostu Granicznego, musiał udać się do dyrektora i wysłuchać delikatnej sugestii, iż być może nie powinien wiązać przyszłości z zawodem inżyniera. Do dnia tamtego egzaminu w Szkole uczyły się też trzy inne dziewczyny. Teraz byłam już sama.

Z dołu most wyglądał zupełnie inaczej. Czaił się nad rzeką niczym odpoczywające zwierzę. Żelazne kratownice na tle wieczornego nieba zdawały się całkiem czarne. Pociągnęłam Cala za rękaw.

– Chodź.

– Dokąd? – spojrzał zaskoczony.

Weszłam w Dunwich Lane, ślizgając się na pokrytych szronem kocich łbach. Cal podskoczył za mną.

– Oszalałaś? Studenci nie mogą tu przychodzić. W ogóle nie wolno nam zaglądać na Stare Miasto. Pani Fortune i pan Hesse obędą nas ze skóry.

– A skąd się niby dowiedzą? – odparłam. – Jeśli idzie się piechotą, to najkrótsza droga do Akademii. Razem nie mamy się czego obawiać. – Tego ostatniego wcale nie byłam pewna. Jeszcze nigdy nie kręciłam się po tej okolicy po zmroku. Studenci, zwłaszcza ci pozostający na utrzymaniu miasta, nie mogli sobie pozwolić na naginanie zasad Akademii, a poza tym, jak zauważył Cal, Stare Miasto – nocą i za dnia – nie było odpowiednim miejscem dla ładnej dziewczyny. Nie było, o ile zamierzała zachować urodę.

Niemniej, znajdowaliśmy się przecież w mieście. Z dala od ognisk nekrowirusa i od heretyków, przed którymi przestrzegali racjoniści. Nie mogli nas tu zaatakować wróżbici, szarlatan i czarodzieje ani ludzie „uszkodzeni przez wirus”.

Taką przynajmniej miałam nadzieję.

Cal zawahał się i popatrzył z powrotem ku świecącym jasno eterowym latarniom pasażu handlowego.

– Resztki zamiast kolacji – przypomniałam. To wystarczyło. Chłopak dogonił mnie, wcisnął dłoń głęboko w kieszenie swojego płaszcza w czerwono-czarną kratę i wypiął pierś niczym twardziel z komiksu.

Uszliśmy kawałek. Dźwięki Derleth Street ucichły, ukradkiem pojawiły się nowe. Stłumiona melodia dobiegająca spod „Jacka i wrony”. Dźwięk kropli spadających z wiszącego nad naszymi głowami mostu. Hurgot ciężarówek wożących żelazo do i z odlewni.

– Nie jest tak źle – zauważył Cal, nieco zbyt głośno i buńczucznie.

Mijaliśmy domy o zabitych deskami, pozbawionych szyb oknach, które wyglądały jak oczy owadów. Widzieliśmy prowadzące donikąd, niesamowicie kręte boczne alejki. Poczułam bijącą od rzeki wilgoć i zadrżałam.

Studentom nie było wolno zaglądać na Dunwich Lane. Zawsze uważałam, że zasada ta została wprowadzona, by trzymać chłopców z dala od prostytutek i podejrzanych lokali, ale teraz przyszło mi do głowy, iż powód mógł być jednak inny. Robiło się coraz zimniej.

– Hej – odezwał się nagle Cal, przez co aż podskoczyłam. – Słuchałaś wczorajszego odcinka „Niewytłumaczalnych” na eterodynie? Świetny był. Nosił tytuł „Przygody Czarnego Pazura”.

Zacisnęłam pięści i obiecałam sobie, że odtąd będę odważniejsza. Dunwich Lane była ubogą i obskurną ulicą, ale przecież ulica nie mogła się na mnie rzucić.

– Niestety. Uczylałam się.

O dawnym świecie – o tym, jaki był, zanim rozszalał się wirus, zanim Konsorcjum Państw wybudowało Maszyny po pierwszej wielkiej wojnie, zanim we wszystkich miastach wprowadzono godzinę policyjną – wolno nam było słuchać tylko w kpiarskich, zatwierdzonych przez rząd słuchowiskach eterodynowych. Cal był ich zagorzałym wielbicielem. Ja tych audycji nie cierpiałam.

– Stanowczo przesadzasz z nauką – zauważył. – Ani się nie obejrzysz, a będziesz musiała nosić okulary. A znasz to powiedzenie: Dziewczyny w okularach nie chodzą z chłopcami w parach...

– Cal... – poirytowana zatrzymałam się na środku ulicy. Już miałam wygłosić pełen oburzenia wykład, gdy w alejce pomiędzy dwoma następnymi domami rozległ się wrzask – ...zamknij się – dokończyłam.

Usta chłopaka wygięły się w dół i zamarł. Staliśmy na jezdni, czekaliśmy. Krzyk doleciał nas ponownie. Tym razem towarzyszył mu cichy, kobiecy szloch. Przyszło do mnie nieproszone wspomnienie zakładu Cristobel i poprzedniego – tam płacze nie milkły nigdy. Gdybym nie zaciskała dłoni, palce dygotałyby mi jak zeschnięte liście.

Cal ruszył naprzód.

– Musimy pomóc.

– Zaczekaj – chwyciłam go za płaszcz. – Nie spiesz się tak.

Nie uśmiechało mi się iść dalej, a już na pewno nie chciałam, by chłopak zostawił mnie tu samą. Dlaczego uparłam się na ten skrót? Dlaczego uznałam, że wiem lepiej?

Szloch rozlegał się coraz głośniejsze. Cał się wyszarpnął. Pobiegł i skręcił w alejkę.

– Pomogę jej! – krzyknął jeszcze i zniknął za rogiem.

– Cholera! – zakląłam, ponieważ w pobliżu nie było żadnego z profesorów i nie mogłam trafić za takie słownictwo do kozy.

– Cał! Cał, nie idź tam!

Ruszyłam za nim. Słomiane włosy przyjaciela kołysały się w ciemności jak błędny ogień na bagnach.

– Cał – szepnęłam, nie dlatego, że chciałam zachować dyskrecję, lecz po prostu ze strachu. Nie jestem chłopcem. Umiem się przyznać, kiedy się boję, a ten wrzask właśnie tak na mnie podziałał. – To nie musi być, jak myślisz... – Jeżeli Calowi coś się przeze mnie stanie... Przyspieszyłam kroku.

U wylotu uliczki zauważyłam coś przypominającego stos szmat – skulonego włóczęgę w sztormiaku i kombinezonie. Wszędzie dokoła unosił się zapach rozkładu, słodki jak przegniły owoc. Cał zatrzymał się niepewnie.

– Śmierdzi.

Na moich oczach dzierzba wyciągnęła głowę ze zwłok swej ofiary. Kilka pasemek cienkich jak pajęczyna włosów wciąż trzymało się jej czaszki. Ścisnęło mnie w gardle, słodka żółć natychmiast wykradła się z żołądka na język. Nigdy jeszcze nie widziałam dzierzby z bliska. Nigdy też nie czułam jej woni. A ta okazała się gorsza niż przypuszczałam, słuchając przestróg wykładowców.

– Och, proszę, pomóżcie mi – potwór odezwał się głosem dziewczynki. – Tak mi zimno... Jestem zupełnie sama... – uniósł napuchnięte, czarne wargi i ukazał cztery kły.

– O kurde – rzucił bezpretensjonalnie Cał.

Dierzba potrząsnęła resztą ciała. Blade, skórzaste kończyny stworzenia wydobywały się z ludzkiej skóry, w którą było dotąd przebrane. Ubranie i zwłoki martwego włóczęgi osunęły się w beładny stos. Monstrum rozpostarło wysuszone ramiona, pod którymi zwisały postrzępione skrzydła.

– Chodź do mnie – poprosiło, wciąż tym nieśmiałym, cichym głosikiem. – Wystarczy mi jeden, jedyny pocałunek.

Widok tej istoty hipnotyzował, zupełnie jak oglądanie sekcji zwłok w Szkole Medyków. Śwąd powalał. Ton, którym wzywało nas stworzenie, był równie usypiający jak głaskanie policzka lub zapach maku niesiony letnim wiatrem ze spelunek Starego Miasta. Cał wykonał bezwiednie krok naprzód, wyciągnął przed siebie rękę. Od dzierzby dzieliło go już tylko pół metra.

– Nie... – szepnął chłopak.

Wtedy się ocknęłam. Myśl o tym, że ta istota dotknie Cala – że miękka, martwa dłoń z czarnymi szponami wprowadzi do jego krwi nekrowirusa, by z wolna, dzień po dniu, przeobraził się w taką samą dzierzbę – sprawiła, iż po raz kolejny skręcił mi się żołądek i wróciłam prosto w zimną noc alejki. Nie byłam już w tym zwiewnym, pełnym letnich woni miejscu, do którego odesłał mnie głos potwora.

Wsunęłam dłoń do torby. Istniały pewne procedury bezpieczeństwa, metody obrony. W Akademii pokazywano nam na lampowym projektorze program zatytułowany: „Nekrowirus i ty!”. Autorzy tłumaczyli w nim kwestie nosicielstwa, drogi przekazywania infekcji i wreszcie sposoby radzenia sobie z osobami, którym nie można już było pomóc.

Podczas tych prezentacji nudziłam się jak wszyscy. Przydatne informacje, jeżeli jakiegokolwiek istotnie były przydatne, odpłynęły mi z głowy, gdy tylko zobaczyłam gnijącą skórę i przypominające zamrożone jeziora oczy dzierzby.

Spróbowałam się zastanowić. Te stwory nienawidziły żelaznych opiłków. Niestety, nie nosiłam ich w kosmetyczce razem ze szminką i szczotką do włosów. Ta strategia nie mogła mi pomóc.

Światło. Dzierzby nie cierpią światła. Ich skóra jest na nie nadmiernie wrażliwa wskutek działania wirusa. Moje błędzące w torbie palce znalazły przenośną eterodynę, wypełnioną cudownym, błękitnym gazem pana Edisona. Naładowana była jedynie na tyle, bym mogła posłuchać muzyki lub zapoznać się z najnowszymi informacjami o protestach i unikać okolic, w których Nadzorcy pacyfikowali demonstrantów. Moja eterodyna była słaba. Nie odbierała nawet ukochanych przez Cala seriali nadawanych przez wielkie anteny w Nowym Amsterdamie. Miałam jednak nadzieję, że wystarczy.

– Cal – rzuciłam ostro. – Lepiej się odsuń.

Zamrugnął, lecz wykonał polecenie. Zamachnęłam się i cisnęłam eterodyną o chodnik. Mosięzna obudowa pękła i z elektrycznych obwodów sypnęły się iskry. Nastąpiła eksplozja. Kawałki szkła poleciały na wszystkie strony, napędzane uciekającym z wewnątrz gazem. Eterowe reakcje widywałam już przedtem, dzięki szkolnym projekcjom lampowych filmów. Te wielkie, które rząd przeprowadzał na pustyni. Z tej jednak odległości każda, nawet najmniejsza porcja gazu eksplodowała jak prawdziwa bomba.

– Zasłoń oczy! – krzyknęłam i rzuciłam się na ścianę budynku.

W zetknięciu z tlenem eter wydał z siebie głośne „łup” i rozkwitł błękitnym płomieniem. Przez kilka sekund jaśniał niczym błyskawica, aż wreszcie wypalił się ostatecznie, pozostawiając po sobie zapach spalonego papieru.

Dzierzba zaczęła wrzeszczeć. Jej krzyk w niczym nie przypominał już głębokiego, dźwięcznego tonu z przed chwili. Tym razem głos był ostry, gardłowy i nabrzmiały głodem.

Cal podniósł mnie z ziemi i pociągnął za rękę.

– Powinniśmy się zbierać.

Mocno chwyciłam jego kościstą dłoń i pozwoliłam się odprowadzić. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa, kolana nie chciały się ugiąć, lecz w jakiś niezrozumiały sposób, pobiegłam. Raz tylko obejrzałam się za siebie. Dzierzba wiała się na ziemi. Wielkie płaty skóry schodziły potworowi z ciała, a nad jego głową tańczyły na wietrze ostatnie kosmyki eteru.

Nie miałam zamiaru dłużej na to patrzeć. Dogoniłam Cala i ruszyliśmy pędem do Akademii.